Zygmunt Rusinek

Statystyka fałszuje rzeczywistość

Miasto nie zna wsi, jej trosk, jej warunków pracy. Ten stan rzeczy panuje od samego początku naszego renesansu państwowego, stał się zwyczajem i nie jest zdolen zbudzić protestu. Jednakowoż w ostatnim czasie zachodzą okoliczności, które do tego stopnia sprzyjają dalszemu pogłębianiu niezrozumienia sytuacji polskiej wsi przez mieszkańców miast, również tej, która jest polska, iż konieczne są wyjaśnienia.

Żyjemy w okresie, w którym tak, jak może nigdy, statystyka rolnicza przyczynia się do tworzenia błędnego obrazu, jakby potwierdzając znane, a złośliwe twierdzenie, iż jest najwyższym stopniem kłamstwa. Przyjrzyjmy się temu zagadnieniu zbliska.

Zgodnie z nauką ekonomii poziom cen na dane artykuły powinien być uważany za objaw koniunktury odpowiedniej gałęzi produkcji. To też dość powszechnie przyjmuje się przeświadczenie o znakomitej poprawie rentowności gospodarstw wiejskich. Bo oto pszenica (porównanie cen z października 1936 i 1937 r.) z 23.45 zł. za 100 kg. skoczyła na 28.22 zł., żyto — z 16.83 zł. na 22.07, jęczmień przemiałowy z 17.04 zł. na 20.16 zł. i wreszcie owies z 14.83 zł. na 19.76 zł. Zaznaczyć przytym należy, że nie są to bynajmniej ceny giełdowe, ale ceny przeciętne, otrzymywane przez rolników. Nic też dziwnego, że niemal wszyscy, przyglądający się takiemu zestawieniu cen, odnoszą wrażenie, iż sytuacja wsi uległa znakomitej poprawie.

Do tego wrażenia należy jednak wprowadzić pewną korektę, która niestety osłabi optymistyczne wrażenie.

Według badań Głównego Urzędu Statystycznegog klęska nieurodzaju objęła 168 powiatów, a niemal wszędzie plony były niższe, niż w roku ubiegłym. I tak ogólny zbiór pszenicy w 1937 r. był o 13.6 proc. mniejszy, aniżeli w roku poprzednim, żyta — o 8.4 proc., jęczmienia—o 6.3 proc., owsa — o 8.8 proc., słomy zbóż ozimych — o 42.3 proc., słomy zbóż jarych — o 10.5 proc., siana koniczny (I pokos)—o 10.2 proc., siana łąkowego (I pokos) — o 7.4 proc.

Cyfry te jednak nie mówią zbyt wiele, gdyż nie uzewnętrzniają faktu, że ogromna większość zbiorów musi być przeznaczona na przeżywienie ludzi i zwierząt na wsi, a tylko stosunkowo mała część idzie na sprzedaż, stanowiąc przychód gotówkowy, z którego pokrywa się niezbędne wydatki publiczne i rodzinne. W tym zakresie sprawa przedstawia się następująco: Przeciętnie biorąc, piony czterech głównych zbóż wynoszą w Polsce około 125 milionów kwintali, z czego 20 do 22 milionów q idzie na spożycie miast, a maksimum do 8 milionów na eksport. W przypadku nieurodzaju wieś, która odżywia się słabo i bardzo źle karmi zwierzęta, nie ma innego wyjścia, jak zmniejszyć podaż, zmniejszając ilości przeznaczone na sprzedaż i wyrzekając się tym samym dochodu. Szczególnie groźna jest taka sytuacja z tego powodu, że w Polsce istnieje ponad 65 proc. gospodarstw, które mogą rzucać na rynek przeciętnie nie więcej, aniżeli 8 do 10 kwintali zboża w ciągu roku. Jeżeli w tym roku mają te gospodarstwa do dyspozycji tylko około 3 q. na sprzedaż, to pomimo zwyżki cen ich sytuacja uległa ogromnemu pogorszeniu. Dla przykładu przyjmujmy, że w 1936 roku gospodarz mógł sprzedać 10 q. żyta, za które otrzymał około 134 zł., w roku bieżącym sprzedając 3 q. mógł w najlepszym razie otrzymać około 68 zł. To też ogół rolnictwa otrzyma z produkcji roślinnej gotówki znacznie mniej obecnie, aniżeli przed rokiem.

Złe położenie potęguje brak pasz. Spowodowało to wyprzedaż chudego inwentarza po bardzo niskich cenach, co jest równoznaczne z uszczuplaniem majątku oraz z przekreśleniem na dłuższy okres czasu dochodowości gospodarstwa. Najwięksi optymiści twierdzą, że trzeba sprzedać conajmniej jedną krowę, aby móc utrzymać przez zimę drugą. W ten sposób traci się jedyne źródło płynnej gotówki za mleko.

Wreszcie trzecia okoliczność wpłynęła decydująco na pogłębienie nędzy wiejskiej w bieżącym roku. Trzoda chlewna jest dla chłopa rodzajem skarbonki, w której lokuje pieniądze i raz do roku upłynnia zgromadzone zasoby. Naturalnie skarbonka ta odrzuca wcale niezłe procenty. Tymczasem obecnie stosunek cen paszy do żywca jest tego rodzaju, że hodowla trzody prestała być przedsiębiorstwem dochodowym, a stała się pewnego rodzaju sportem, zajmującym czas. Przeciętnie biorąc, wydatki na wyprodukowanie 1000 kg. żywca wzrosły w ciągu roku o mniej więcej 24 zł., a ceny tylko cokolwiek poszły w górę. W ten sposób został uderzony trzeci dział dochodowy wsi.

Na podstawie powyższych uwag musimy dojść do wniosku, że nieurodzaj, powodujący zwyżkę cen artykułów rolnych, nie jest napewno czynnikiem pozytywnym w kształtowaniu rentowności rolnictwa. Szkodzi on niezamożnym sferom miejskim, a uderza całą siłą w rolników. Konieczna jest więc korekta w obrazie, kształtowanym przez statystykę cen, a to tymbardziej, że może on wypaczyć nie tylko pojęcia o rzeczywistej rzeczywistości, ale nawet wywołać błędy w zarządzeniach polityki rolniczej.

Piszemy o tych ważnych sprawach bynajmniej nie w celu wywołania litości nad biednym chłopem. Idzie nam o rzeczy o wiele ważniejsze, a mianowicie o rynek zbytu dla całej pozostałej poza rolnictwem produkcji krajowej. Zapytujemy, kto zastąpi spożycie chłopa w zakresie ubrań, bielizny, obuwia, sprzętów i t. d., jeżeli zamiast zeszłorocznej, minimalnej zresztą kwoty, może w tym roku przeznaczyć sumę o połowę mniejszą. Przy ograniczeniach eksportowych pracujemy wszyscy przede wszystkim na rynek wewnętrzny; o jego pojemności decyduje chłop.

To jest główna przyczyna, która sprawia, że według nas w interesie ludności miast leży dobrobyt polskiego chłopa.

Bóg się rodzi...

Jest w święcie Bożego Narodzenia specjalny urok, zdolny wyrwać człowieka z szarzyzny spraw powszednich i rozniecić szczególnie mocno tęsknoty i pragnienia najistotniejsze.

Boże Narodzenie — chwila w dziejach ludzkości, jakiej nie było równej, chwila, w której wraz z Bogiem na ziemi urodzić się miało nowe życie, nowy świat.

Ponad chaos świata pogańskiego, ponad ciemną, wypaczoną przez żydów ideę religijną, wyrosła nowa, wielka i czysta religia chrześcijańska.

W niej jedynie znaleźć mogły swoje zaspokojenie i oparcie ludzkie tęsknoty za nieskazitelnym Dobrem, za Prawdą.

Zło, sprawujące swą władzę nad czynami ludzkimi przez słabość ludzką sprowadzało świat z wytkniętej mu jasnej drogi. Przez wszystkie wieki trwała i trwa nieustanna walka w życiu ludzi i w życiu narodów między słabością własną, a pragnieniem wzniesienia się na wyżyny wielkości.

Ci, którym mroków duszy i umysłu nigdy nie zdołało rozjaśnić chrześcijaństwo, ci, którzy poprzez wieki stali od niego zdala, zakrzepli w swych żądzach i celach ziemskich, jako nieprzejednani wrogowie chrześcijaństwa, wpływami swoimi na otaczający ich świat chrześcijański truli go i zaciemniali mu wizję ich własnego życia.

Świat, jego narody dojrzałe duchowo i cywilizacyjnie, przechodziły okresy najcięższych załamań i upadków. Epoka wszechwładzy idei materialistycznych pozostawiła na psychice narodów ślad dotąd niezatarty.

Dziś jednak rośnie coraz potężniejsza fala pragnień i tęsknot powrotu do życia takiego, jakie światu wyznaczyła chwila narodzin nowej epoki, epoki chrześcijaństwa.

I ci wszyscy w Polsce, którzy pragną szczerze Naród poprowadzić do wielkości, wiedzieć muszą, że wielkość ta oprzeć się musi na niewzruszonych podstawach mocnej wiary i głębokiego z chrześcijańskiego poglądu na świat wyrastającego idealizmu.

Kolęda

— Dokąd, pastuszkowie, śpieszycie w zawody,
Opuściwszy liczne bydła swego trzody?
— Pośpieszamy do tej szopy,
Z której to już lecą snopy.
Cała przeźroczysta,
Wiatr w niej, gdzie chce, śwista,
Ho! Ho! Ho! Ho!

— Co czynić będziecie? Ciekowość mnie bierze,
Powiedzcie mi, proszę, powiedzcie mi szczerze.
— Upadniemy na kolana,
Powitamy w niebie Pana,
Co leży w żłóbeczku,
W Betleem, miasteczku.
Ho! Ho! Ho! Ho!

— Na co instrumenta ze sobą bierzecie?
Czy nie lepiej było zostawić je przecie?
— Toć to może się i przyda,
Wszakże Bartosz dobrze dyda,
Kuba dmie na rogu:
Będzie chwała Bogu.
Ho! Ho! Ho! Ho!

Z Kantyczki poznańskiej z r. 1885.

Jerzy Kurcyusz

Łuna na północy

Przyzwyczailiśmy się mówić i myśleć o Pomorzu, jako o wąskim skrawku morskiego wybrzeża, biegnącego na przestrzeni stu kilkudziesięciu kilometrów od Błot karwińskich, po przez Hel do Orłowa. Nad sprawami i życiem wielkiej, pełnej zagadnień gospodarczych, społecznych i politycznych, dzielnicy pomorskiej przechodzi się niemal do porządku. Nadbrzeże i Gdynia zaciążyły nad Pomorzem wszechpotężnie, ogniskując na sobie większość zainteresowań opinii publicznej i prasy. I dopiero przy okazji jakiegoś sądowego procesu, dopiero w związku z jakimś przykrym skandalem, którego drogi dążą nie od wybrzeża ku Polsce, ale odwrotnie od Polski, od centrum jej władz administracyjnych ku Pomorzu, dopiero przy sposobności wyjścia na jaw jakiegoś przerastającego inne zaniedbania lub nadużycia — staje przed nami z całą jaskrawością zagadnienie polityki państwowej w stosunku do województwa pomorskiego.

Jest to sprawa drażliwa i subtelna, tym więcej, że coraz częstsze i coraz bardziej niepokojące zaczynają dochodzić pogłoski i plotki, coraz głośniejsze słyszy się szepty na temat niebezpieczeństw, na które wystawiło całe dorzecze dolnej Wisły ostatnich lat kilka.

Polityka na Pomorzu winna być z jednej strony wyjątkowo ostrożna, z drugiej zaś dla ludności pomorskiej jasna i niedwuznaczna.

Nie jest tajemnicą, że hitlerowskie Niemcy, robią u siebie na pograniczu polskim wszystko, żeby siłą samego porównania, siłą samego kontrastu z naszymi warunkami gospodarczymi Polaków nagranicznych olśnić, żeby im swą siłą i dobrobytem choćby pozornym zaimponować. Dla propagandy Trzecia Rzesza zwalnia swą nadgraniczną ludność od wszelkich podatków, dla propagandy przyznaje ogromne kredyty budowlane. Dla propagandy i nie tylko dla propagandy, ale wręcz już realizując swą imperjalistyczną politykę zagraniczną — budzenia świadomości germańsko - narodowej wśród ludzi pochodzenia niemieckiego na całym świecie — podtrzymuje niemieckiego ducha wśród kolonistów na Pomorzu, gęsto rozsianych. Ta sama ręka wreszcie, która organizuje i częściowo finansuje ukraińskie organizacje bojowe, grasujące w Małopolsce Wschodniej i na Wołyniu organizuje na Pomorzu nastroje, a — jak twierdzą znawcy stosunków miejscowych — na Kaszubach — coś znacznie więcej niż nastroje, wyraźnie wrogie Polsce i jej rozwojowym planom.

Czy istnieje jakaś wyraźna akcja ze strony społeczeństwa, a tym bardziej czynników rządowych, zmierzająca do zrównoważenia tych nastrojów i przeciwdziałania niebezpiecznej akcji?

Czy ludność Pomorza ma prawo ze spokojem patrzeć w przyszłość, rozumiejąc przecież dokładnie, do czego zmierzają agenci i agitatorzy niemieccy, dobrze jej znani jeszcze z przed lat dwudziestu, a napewno przez tych lat 20-cia w niczym nie odmienieni?.

Co robi się, aby umocnić zaufanie społeczeństwa pomorskiego do państwa i do jego autorytetu, które stanowią dlań jedyny oręż w walce na dobre już rozpoczętej.

Zaufania tego napewną nie pogłębiła ani cała działalność p. wojewody Kirtikilisa, ani ostatni proces starosty Czarnockiego. Nie pogłębia go także niewątpliwie fakt, że w całym województwie pomorskim nie ma podobno ani jednego pomorzanina, który by w drabinie hierarchii administracji państwowej przekroczył stopień referenta w starostwie. Natomiast szereg wybitnych stanowisk zajmują ludzie z odległych dzielnic Polski, niczym z Pomorzem nie związani, noszący zato często ruskie zgoła nazwiska rodowe.

To nie jest obrona dzielnicowości, ani lokalnych szowinizmów, czy ambicyj. To jest kwestia zdrowej polityki regionalnej.

Na Pomorzu dzieje się źle.

Trzeba na alarm bić jak najgłośniej i do odsieczy mobilizować wszystkie czynniki uczciwie i szczerze polskie, bo nad północnemi ziemiami Rzeczypospolitej wschodzi łuna, — bo zagrożone jest najcenniejsze dobro narodu, nieprzebrane źródło tężyzny moralnej, fundament pod budowę przyszłej, nowoczesnej Wielkiej Polski.

Powodzenie Pani

zależy od właściwego stosowania kremu i mydła. Każdej Pani, która pragnie zachować cerę świeżą — matową, gładką radzimy stosować: KREM OGÓRKOWY Nr. 268 MARYNOWSKIEGO którego wysoka wartość kosmetyczna jest ogólnie znaną. KREM OGÓRKOWY Nr 268 nie tłusty, ściągający pory, nie tylko wybiela i udelikatnia cerę, ale usuwa pryszcze, plamy, wągry i piegi. Stosowany pod puder chroni cerę od zmarszczek i zpierzchnięć. ŻĄDAĆ W APTEKACH I SKŁADACH APTECZNYCH.

PALTA L. CZAPIŃSKI Warszawa, ŻÓRAWIA 31, tel. 851-01

U -- czyli: udręczona

„ABC" — felietonu chce. Koniecznie, żeby był „świąteczny". Bynajmniej mnie to nie dziwi, bo jak Rzepichy w okresie świątecznym pieką strucle i placki, (omal, że nie napisałem: „makagigi" — tfu, do licha!)—tak ja piekę feljetony, a że nic w naturze nie ginie, czasem moje felietony idą pod placki. Delegacja redakcji składała się z trzech osób, z których każda zapewne symbolizuje jedną literę z tytułu pisma. Chesterton nazwał siedmiu swoich bohaterów imionami siedmiu dni tygodnia, zapewne więc pan A — jest redaktorem naczelnym, B — sekretarzem redakcji, a C — redaktorem od kryminału, że to kryminał po łacinie: Carcer. Otóż panowie ABC — zakięli pana K. M., aby unikając jak najtroskliwiej nowej pisowni, napisał wzniosły artykuł świątecznej potrzeby. Jako człowiek miękkiego od a do zet serca, nie umiałem odmówić dostojnemu alfabetowi i stąd pochodzi to pisanie, od lewej strony do prawej, oczywiście, w ABC bowiem nie wypada inaczej i mogłoby być uważane za złośliwość.

Zastanawiając się nad tematem, natknąłem się na mej drodze na kobietę, najnieszczęśliwszą istotę abecadła. Może ona być usymbolizowana przez literę U: — udręczona, umęczona, umartwiona. Dostrzegłem w ponurem i natchnionem zamyśleniu, że dzień powszedni napełnia ją smutkiem, a promienisty dzień święta — zgoła rozpaczą. Zaraz to wyłożę tak wymownie, że dobrym ludziom włosy staną na imitacji głowy. — „Posłuchajcie i zważcie u siebie": — Boże Narodzenie jest świętem powszechnej radości, co chodzi po skrzypiącym śniegu. Jedynie kobieta, nie, nie tak! — jedynie Kobieta — nie może sobie pozwolić na odrobinę tej mizerackiej radości, albowiem nie ma na to czasu. Wszyscy wszystko spychają na jej nieszczęsną głowę. Ona jedna ma pamiętać o wszystkiem, aby się inni mogli radować. Ona tylko musi się zaprządz do pługa, aby inni mogli sobie odpocząć w cieniu choinki. „Ktoś nie śpi, aby spać mógł ktoś". Tak zawsze jakoś wypada, że ona nie śpi, czarny murzyn, nieumęczony murzyn.

Mógłbym na tem ponurem odkryciu zakończyć moje dzisiejsze pisanie, a resztę feljetonu wypełnić niezliczonemi westchnieniami kobiet. Zamiast kropki na końcu mógłbym użyć łzy, co padnie z czułego oka. Nie chcę jednak pominąć sposobności, aby rodzajowi męskiemu nie przypiec sumienia i nie nakarmić go wstydem. Najchętniej wyłowiłbym w przepaści rozsierdzonego serca sporą wiązankę słów grubych i tak dosadnych, aby wszystkim nam, niedźwiedziom, w pięty poszło, ale pan redaktor nie pozwoli. Wiadomo: mężczyzna, członek męskiej mafii, taki sam ciemiężyciel, jak każdy! A słodkie kobiety ledwie dyszą. Wszyscy wyglądają świąt rozpromienionem spojrzeniem, a one z trwogą. Któż bowiem urządzi te święta? One. Kto będzie skrobał rybę, tarł mak, łuszczył migdały, stroił choinkę, piekł kołacze, namawiał idjotę indyka, aby skruszał? One! Kto będzie trudził skołataną głowę, aby na cztery dni starczyło spyży i aby ją utrzymać w stanie jadalnym? One! Kto będzie liczył i liczył z góry na dół i znowu z dołu do góry, aby starczyło na wszystko? One, one! Kto będzie pamiętał, aby dzieciska były schludnie odziane, umyte, szczęśliwe? One! Kto będzie łamał ręce, kiedy uprzejmi djabłowie przyniosą dwa tuziny gości, żarłocznych jak rekiny? One! Mógłbym tak wyliczać do białego rana, muszę jednak przerwać, bowiem serce by mi pękło. Lista gorzkich utrapień kobiety, jest bodaj że dłuższa, niż lista składek dobroczynnych. „Ptaszki w górę podlatują", a ona, nieszczęsna westalka dymiącego domowego ogniska, nawet tak drobnej musi sobie odmówić przyjemności. Tylko usiąść i płakać do niecki z nieczułemi rybami.

Czy się kto kiedy zastanowił nad ową białogłowską dolą? Czy się kto kiedy jej użalił? Nikt, za mojej pamięci. Dał jej Pan Bóg męża, niechże przeto żona umie ocenić to niebotyczne szczęście. Niechże i święta urządza. Wąsaty drągal sięgnął do kieszeni i myśli, że już uczynił wszystko, do czego był zobowiązany. Ha, ha! Żaden szatan nie potrafi zaśmiać się tak jadowicie, jak ja to czynię w tej chwili... Za pozwoleniem, smętna męska kreaturo! (Zdaje się, że grozi mi kilka pojedynków, ale wtedy ja zwołam bohaterskie kobiety z wałkami od ciasta i połowę rodzaju męskiego wyniesiemy na noszach). Za pozwoleniem! Zważmy uczciwie, co robi podczas świąt żona, a co robi mąż? O zacnej żonie wiemy wszystko: spełnia ona dwanaście prac Herkulesa i jeszcze siedemdziesiąt siedem innych. A teraz wypatroszmy pana męża oczywiście z abominacją. Pan mąż przedewszystkiem idzie „na rybkę". Jest to odwieczna instytucja pijacka, męski, uzurpowany przywilej, broniony z haniebnym uporem. Jest to wieloryb, a nie „rybka". Siedem grzechów głównych i kilka pobocznych, zebranych przy jednym stole. Niezmiennie powtarza się podczas tej uroczystości gruby dowcipas, że „ryba lubi pływać". To też pływa, hejże, ha! Dlatego niewinnym dziatkom tłumaczy się wieczorem, że tatusia „rozebrało". Przedtem kazano im mówić rzewnie: — „Tato nie wraca"... Człowiek, wracający z owej „rybki" przypomina sobie czasem, że w czarodziejski wieczór wigilijny zwierzęta gadają ludzkim językiem; dlatego to często ujrzeć można wąsate indywiduum czule przemawiające do dorożkarskiego konia, szlachetny rumak jednakże nigdy z takim nie wdaje się w rozmowę.

Nie to jednak jest najstraszliwszym pomysłem mężczyzny. W świątecznym czasie polska dusza przedziwnie czyni się rozlewna i pragnęłaby cały świat objąć ramionami i całować się z dubeltówki z całym światem. Przeto Polak wszystkich zaprasza na święta, a jest to największego godne podziwu, że najbardziej zaczadziały i zamroczony gość o wszystkim zapomni, ale nigdy o tem, że został zaproszony; zabiera

(Dalszy ciąg na stronie 3-ej)